

# Aneta Wiatr

---

## Szyborska - poetka nie znana

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 31, 3-9

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## ARTYKUŁY

*Aneta Wiatr*

### SZYMBORSKA – POETKA NIE ZNANA

Szyborska – poetka nie znana... Szyborska? Poetka nie znana? Od lat „Pierwsza Dama poezji polskiej” (według ulubionego, mocno wytartego dziennikarskiego frazesu). Od kilku miesięcy fetowana, noszona na rękach czwarta w naszych literackich dziejach laureatka Nagrody Nobla, a pierwsza z piszących po polsku kobiet. A jednak pragnę z pełną świadomością powtórzyć swoją tezę o nieznajomości poezji Wisławy Szyborskiej nie tylko w szerokich kręgach społeczeństwa, ale także w tych węższych, ściślejszych – znawców i miłośników, specjalistów, badaczy, nauczycieli, słowem, wśród tych, których liczbę dość precyzyjnie starała się ustalić, znana z szacunku dla danych szacunkowych, autorka ostatniego jak dotychczas tomiku *Koniec i początek* i ostatniego – jak dotychczas – wiersza zatytułowanego *Przyczynek do statystyki* („Twórczość” 1996, nr 10). Pomysł Szyborskiej okazał się raz jeszcze zaskakująco prosty i świeży: prawa statystyczne, z natury swojej ilościowe, zostały zastosowane, czy może lepiej, zderzone z aksjologią, z jakościowym charakterem zjawisk moralnych i estetycznych. I jeśli nawet odpowiednie cyfry o pozorach ścisłości wzięte zostały z sufitu poetyckiej intuicji, czujemy, że poeta nie kłamie, jak nie kłamie sięgając po tak bliski nam „obiektywny” język faktów, może dziś już jedynie dla nas zrozumiały...

Na stu ludzi [...]  
dobrych zawsze,  
  
bo nie potrafią inaczej  
– czterech, no może pięciu, [...]  
  
mądrych po szkodzie  
– nie wielu więcej  
niż mądrych przed szkodą, [...]  
  
sprawiedliwych  
– dość dużo, bo trzydziestu pięciu,

jeśli ta cecha łączy się  
 z wysiłkiem zrozumienia  
 – trzech,  
 godnych współczucia  
 – dziewięćdziesięciu dziewięciu,  
 śmiertelnych  
 – stu na stu.  
 Liczba, która jak dotąd nie ulega zmianie.

Procenty, może nawet promile dobra i piękna... Znów zostają wprowadzone w ruch, umieszczone w „statystycznej głowie” Szymborskiej, „co spożywa stal i kable”, maszyny liczące i kalkulatory:

Niektórzy –  
 czyli nie wszyscy.  
 Nawet nie większość wszystkich ale mniejszość.  
 Nie licząc szkół, gdzie się musi,  
 i samych poetów,  
 będzie tych osób chyba dwie na tysiąc.  
 (*Niektórzy lubią poezję*)

Jak widać, poeta, jego akolici i entuzjaści znaleźli się po stronie – najdelikatniej rzecz ujmując – kwalifikowanej mniejszości. W języku nagród pocieszenia rzecz by można, iż „odnieśli moralne zwycięstwo nad bezdusznym światem brutalnie tryumfującej materii”, w języku wieszczka, że „jedność większa od dwóch”, a siła sile nierówna, jak świat rzeczy – światu ducha. W języku nauczycieli, w języku szkoły („gdzie się musi”), w języku pracy u podstaw, że trzeba będzie dwoić się i troić, a przede wszystkim podnosić własne kwalifikacje, by znaleźć w sobie moc kaptowania na stronę poezji, przerabiania tłumy zjadaczy chleba w paru, może parunastu aniołów.

Tak czy inaczej, ramy ilościowe problemu znajomości poezji zostały zakreślone. Stanęliśmy na twardym gruncie rzeczywistości. Dla uproszczenia sprawy, owych „dwoje na tysiąc” będzie reprezentować tych, co lubią poezję, zajmują się i znają się na niej – bez dodatkowych i żmudnych dystynkcji. Przyjdzie na nie jeszcze pora.

Na pytanie: dlaczego ich tak mało, dlaczego wciąż i bez końca zachowuje swoją gorzką aktualność ciężkie westchnienie Hölderlina: *Wozu Dichter?* – „cóż po poecie w czasie marnym?” – odpowiemy, być może, rozglądając się wokół siebie oczami Szymborskiej, wybierając ją na obiektywnego, pozbawionego histerii i uprzedzeń „cicerone” – wiarygodnego przewodnika po piekle współczesnego świata.

Poetka nie ma najmniejszych złudzeń: rzeczywistość nie jest rajskim ogrodem pod gwiazdzistym niebem, człowiek wciąż nie żyje na miarę własnego powołania, wedle zasad prawa moralnego, które nosi w sobie istota rozumna i które

ujawnia w swych najwznioślejszych porywach i tęsknotach. To, kim moglibyśmy być, dochodzi do głosu z rzadka, ale – rozejrzyjmy się wokół siebie – manifestuje się w tych wspaniałych momentach, kiedy człowiek przewyższa samego siebie i podnosi poprzeczkę człowieczeństwa. I nie jest ważne, czy chodzić tu będzie o namiętne poczucie sprawiedliwości społecznej „czerwonego kasztelanica” Edwarda Dembowskiego, czy o skok w płomień po „czworo cudzych dzieci” nauczycielki Ludwika Wawrzyńskiej, której – jak wolno się domyślać – już tradycyjnie się „nie przelewało”... Imponuje poetce genialny, olimpijski Tomasz Mann, ostatnie najwyższe ogniwo w procesie ewolucji, ów przesławny „ssak z cudownie upierzoną watermanem ręką”, ale także imponująco swobodny, plebejski Colas Breugnon spod katedry Notre-Dame – „clochard, mnich świecki, wyrzeczenie”:

Jeżeli nawet miał coś – to utracił,  
a utraciwszy, nie pragnie odzyskać.  
Należy mu się jeszcze żołąd za podbój Galii –  
przeboleł, już nie stoi o to.  
Nie zapłacono mu w piętnastym wieku  
za pozowanie do lewego łotra –  
zapomniał, przestał czekać już.

Zarabia na czerwone wino  
strzyżeniem okolicznych psów.  
Śpi z miną wynalazcy snów  
do słońca wyroiwszy brodę.

*(Clochard)*

„Roztropny Piotr, czynny Michał, zaradna Ewa, Barbara, Klara” i miliony im podobnych egzemplarzy zdjętych niczym ze sztancy rozsądku i praktycznej zapobiegliwości, wszyscy oni mogliby – gdyby chcieli, gdyby potrafili – uczyć się od paryskiego włóczęgi. Ich nieszczęście polega na tym, że nie odczuwają żadnej ciekawości poznawczej. Oni już wiedzą – wszystko i raz na zawsze. Spluwają na śpiącego chlocharda, którego nędza utwierdza ich co najwyżej w nieodmiennie dobrym samopoczuciu: „życie jest piękne i ziemia jest nasza”. Niefotogeniczni poeci, wahający się nad wciąż pustą lub zagryzmołą kartką papieru, budzą jedynie ich politowanie. Czują swoją przewagę. Są w większości. Ich imię – legion. Jest ich 998 na tysiąc.

Artysta, którego pierwszym obowiązkiem jest wrażliwość i wyobraźnia, który nigdy niczego nie jest pewien, nawet własnej wartości, którą w trudzie zdobywa, bierze sobie do serca – jak Mały Książę – tę przyganę, puste słowa i gesty bez znaczenia. Zakłada w sobie hodowlę wątpliwości i kompleksów. Niedawny Wieszczyk, organizator narodowej wyobraźni, krzepiciel serc, rozdrapywacz ran, budzieli sumień dziś wstydzi się własnego powołania czy profesji. Pozwolił sobie wmówić, że uprawiana przez niego dziedzina, jeśli nawet nie jest zbędna, to w każdym razie jest niepoważna. Trafnie ten spadek prestiżu społecznego,

tę degradację zawodu artysty podniosła tegoroczna Laureatka najbardziej prestiżowej nagrody literackiej w swym sztokholmskim wykładzie z 7 października 1996 roku, w którym czytamy:

„Dzisiejszy poeta jest sceptyczny i podejrzliwy nawet – a może przede wszystkim – wobec samego siebie. Z niechęcią oświadcza publicznie, że jest poetą, jakby się tego trochę wstydził... W różnych ankietach czy rozmowach z przypadkowymi ludźmi, kiedy poecie już koniecznie wypada określić swoje zajęcie, podaje on ogólnikowe „literat” albo wymienia nazwę dodatkowo wykonywanej pracy... Przypuszczam, że i filozof budzi podobne zakłopotanie. Jest jednak w lepszym położeniu, bo najczęściej ma możliwość ozdobienia swojej profesji jakimś tytułem naukowym. Profesor filozofii – to brzmi już dużo poważniej.”

Cierpienie duchowe, o którym mowa, nie pojawiło się jednak dzisiaj ani cztery dni temu. Liczy już bez mała lat czterdzieści – podwójną pełnoletność. W słynnym i znakomitym *Wieczorze autorskim* z tomu *Sól* (1962) Szymborska zdaje się nie mieć nadmiernych złudzeń wobec świata kultury masowej:

Muzo, nie być bokserem, to jest nie być wcale.  
Ryczącej publiczności poskapiłaś nam.  
Dwanaście osób jest na sali,  
już czas, żebyśmy zaczynali.  
Połowa przyszła, bo deszcz pada,  
reszta to krewni. Muzo. [...]

Nie być bokserem, być poetą,  
mieć wyrok skazujący na ciężkie norwidy,  
z braku masy mięśniowej demonstrować światu  
przyszłą lekturę szkolną – w najszcześniejszym razie –  
o Muzo. O Pegazie,  
aniele koński.

Mija dwadzieścia pięć lat i oto znów jesteśmy z poetką na wieczorze autorskim, by odnotować tym razem inne aspekty tej samej surrealistycznej sytuacji artysty we współczesnym świecie:

A tam na podium czyha już stoliczek  
spirytystyczny jakiś, na złożonych nóżkach  
a na stoliczku kopci się lichtarzyk –

Z czego wniosek.  
że będę musiała przy świecach  
czytać to, co pisałam przy zwykłej żarówce  
stuk stuk stuk na maszynie –

Czyżby poeta (poetka) „w butach z Chełmka”, z wierszami wprost z torebki, „na tle kurtyny bordo z fioletowymi frędzlami” miał już zawsze czuć się jak przybysz z innej bajki, żyć i tworzyć ze świadomością swojego nieprzylegania do tła, niemieszczenia się w kręgu zbiorowych wyobrażeń? I tu rzecz ciekawa, Szymborska nie czuje się, mimo tej niewygody, napiętnowana czy nieszczęśliwa. Jej wrażliwość każe jej przyznać, że są większe nieszczęścia na świecie, większe

tortury niż malownicze cierpienia artystów. Ot choćby „jacyś ludzie w ucieczce przed jakimiś ludźmi...”, w ucieczce, której kresu nie widać. A przecież, przypomnijmy, „miał być lepszy od zeszłych nasz XX wiek”. Tymczasem: „Głupota nie jest śmieszna/Mądrość nie jest wesoła”...

Bóg miał nareszcie uwierzyć w człowieka  
dobrego i silnego,  
ale dobry i silny  
to ciągle jeszcze dwóch ludzi.

Oslawiony „styl kancelaryjno-urzędowy” – bezduszny, zdepersonalizowany i napuszony – zdradza bezbłędnie w czułym uchu poety, w zwierciadle języka ogólny kierunek marszu „nagiej mały” przez historię. Wiersz mający formę pouczenia przy pisaniu życiorysu każe odsłonić nie tylko kształt ucha na „załączonej fotografii bez nakrycia głowy”. Zdradza znacznie więcej: kim albo raczej czym jest człowiek w systemach polityczno-administracyjnej inwigilacji, manipulacji i represji – otartym z cech swoistych i niepowtarzalnych egzemplarzem homogenicznego stada, przedmiotem w ewidencji przedmiotów:

Bez względu na długość życia  
zyciorys powinien być krótki.

Obowiązuje zwięzłość i selekcja faktów.  
Zamiana krajobrazów na adresy  
i chwiejnych wspomnień w nieruchome daty.

Z wszystkich miłości starczy ślubna,  
a z dzieci tylko urodzone.

Ważniejsze, kto cię zna, niż kogo znasz.  
Podróże tylko jeśli zagraniczne.  
Przynależność do czego, ale bez dłaczego.  
Odnaczenia bez za co.

Pisz tak, jakbyś ze sobą nigdy nie rozmawiał,  
i omijał z daleka.

Pomiń milczeniem psy, koty i ptaki,  
pamiątkowe rupiecie, przyjaciół i sny.

Raczej cena niż wartość  
i tytuł niż treść.

Raczej już numer butów, niż dokąd on idzie,  
ten, za kogo uchodzisz.

Do tego fotografia z odsłoniętym uchem.  
Liczy się jego kształt, nie to, co słyhać.  
Co słyhać?

Łomot maszyn, które miały papier.

*(Pisanie życiorysu)*

Zauważmy, ile ważkich, naładowanych gniewem i niepokojem treści skrywa ten wyborny tekst, który ani na moment nie traci równowagi poetyckiej samo-kontroli, nie zamienia się w polityczny plakat czy manifest. Jak pojemna jest jego finałowa metafora... Te słowa jak baty, zdania jak rozkazy i instrukcje, to pętanie uroczystym banałem dowodzi, że gra została przejrzana i podjęta, jej reguły rozpoznane, że zastraszony klient władzy przestał się bać, że przedrzeźnia i pokazuje figę, jak w *Głosie w sprawie pornografii* – charakterystycznego V-kształtnego „zajączka”. Szymborska, ścichapek, nie przestając śpiewać i zastanawiać się nad światem, podminowywała nieludzki system, w którym żyliśmy i – jak się wydaje – nadal żyjemy. Wygląda na to, że straszny maturalny koszmar sprzed czterdziestu lat jeszcze się nie prześnił. Historia gatunku ludzkiego nadal sprawia wrażenie zakuwania w łańcuchy kogoś, kto nie wyszedł jeszcze z powijaków czy objęć Matki Natury, kto się do reszty nie „wygłowił”. Zmieniają się jedynie, często dość pomysłowo, historyczne formy społecznego zniewolenia. Od czasów *Wołania do Yeti* (1957) treści programowe historii pozostają z grubsza te same, co w *Dwóch małpach Bruegla*:

Tak wygląda mój wielki maturalny sen:  
siedzą w oknie dwie małpy przykute łańcuchem,  
za oknem fruwa niebo  
i kąpie się morze.

Zdaję z historii ludzi.  
Jąkam się i brnę.

Małpa, wpatrzona we mnie, ironicznie słucha.  
druga niby to drzemie –  
a kiedy po pytaniu nastaje milczenie,  
podpowiada mi  
cichym brząkaniem łańcucha.

Symptomy groźnej choroby wydiagnostowanej przez Szymborską w przeważającej liczbie tekstów, zadziornych, wyrazistych, aczkolwiek umiejętnie tonowanych wielką osobistą kulturą słowa, humorem, dowcipem, autoironią, można by mnożyć. Nie czas na to i miejsce. Czas jednak postawić pytanie: czy w tych warunkach, o których mowa, twórczość autorki *Soli* (jakiż to demonstracyjnie nieefektywny tytuł!) mogła – poza paroma „dyżurnymi” tekstami, w tym trzema śpiewanymi (A. Mundkowski, G. Turnau) – zdobyć większą popularność, trafić pod strzechy naszych M-X? Czy umiemy premiować rzeczywiste wartości, dostrzegać klarowne głębie, drapieżną pogodę ducha, heroiczny tragizm istnienia, piękno przemijania, wyrozumiałe dla niedoskonałości ludzkiej rozkosze świadomości i męstwo uśmiechu? Czy poprzez zgiełk, furie i bełkot współczesnego świata dotrze do szerokiego, wnikliwego odbiorcy skromny głos kameralnego poety, który od lat ignoruje wszelkie formy autoreklamy, nie wyprzedaje prywatności, nie uczestniczy w skandalach, nie podnieca wy-

obraźni, przyznaje się do błędów, do wątpliwości, do wieku, do uczciwego „nie wiem”, kto nie prowadzi kramiku z poezją, nie wyrzeka się swoich „pociach” i – o zgrozo – używa staroświeckiego przecinka, bez obawy posądzenia o „post-modernizm”? Powiedzmy sobie szczerze za Lucjuszem Anneuszem Seneką: „Sprawy ludzkie nie idą aż tak dobrze, żeby się większości podobało to, co lepsze...”

Ostatnie wydarzenia „okołonoblowskie” dowiodły w swoisty sposób ponad wszelką wątpliwość, że spośród tych osób „dwu na tysiąc” co najmniej jedna udawała, że „lubi poezję”. Tylu seansów ignorancji, gaf, lapsusów, niezręczności, dowodów złej woli, zawiści, rozbicia środowiska twórczego, erozji krytyki literackiej i naukowej, tylu naraz dowodów na to, że jest Szymborska poetką nie tylko nieznaną, ale bezlitośnie turbowaną przez domorosłych, samozwańczych „znawców” i publikatory – jeszcze nie było. Może dlatego, że tendencje te pozostawały dotąd w uśpieniu i rozproszeniu, by nagle – pod wpływem impulsu ze Sztokholmu – „skrzyknąć się i ruszyć ławą”. Pomińmy milczeniem szczegóły godne politowania i żenujące, jak choćby prywatne przyznawanie swojej nagrody swoim pupilom – na złość Poetce, której twórczość od czterdziestu lat jest protestem przeciw zniekształcaniu i okaleczaniu człowieka, jest rozluźnianiem garoty, luzowaniem więzów i dogmatów, rozkuwaniem owych „kajdaniarzy osobistych”. A jak pamiętamy z *Politei* Platona, to wyjście z mrocznej, ale przytulnej jaskini w pełny blask słońca – kosztuje i nie jest wolne od bolesnego „pomieszania w oczach” i ocenach, nie jest pozbawione akcentów dramatycznych. Chwilami odnosiło się wrażenie, że wytrącano Poetkę z pięknego snu prywatności, zmuszając do wychodzenia ze skóry. Że w towarzystwie „światy” pojechała do Sztokholmu, pozostawiając „kota w pustym mieszkaniu”, jedna z najbardziej mężnych kobiet. Jedna z najgorzej czytanych, najbardziej opuszczonych przez krytykę i samotnych twórczyń.

3 października i 10 grudnia 1996 r. zaczęło się drugie życie Szymborskiej. W atmosferze poetyckiego festiwalu, bicia w dzwony i podbijania bębna, nieustannych wspomnień i „przewidywań” postaci z tzw. środowiska, które już wyrobiło kilkaset procent normy niedyskrecji, może utonąć sama poezja – mądra, prawa, dyskretna... Może się zdarzyć, że Poetka nadal pozostanie nie znana, bo nie pogłębiona. Nie znana – tyle że i n a c z e j.